

RENE BURES.

Zil = X...

28. Ilomaczyła z francuskiego MARYA SEGENY

W końcu, jeżeli wiedzieliśmy, że mała Róża Laplanche została zabrana przez Zila — nie wiedzieliśmy jeszcze tak, jak i przedtem, kto był ten tajemniczy Zil, pomocnik kafa, korespondujący z kapitanem de Limandoux. A gdzie ten Zil przedewszystkiem uprowadził małą Różę? Gdzie mieszkał? Ślad się zaznaczał trochę wyraźniej, ale zawsze staliśmy wobec niewyjaśnionej tajemnicy. Teraz należało nam tylko czekać na powrót Igginsa, który ze swojej strony wybrał się na poszukiwania i którego nagła śmierć Markasa poruszyła silnie.

Powróciwszy do mieszkania, zastaliśmy krótki bilecik od niego, oznajmiający nam, abyśmy nie wychodzili i czekali na niego.

Czekaliśmy zatem na niego...

Czekaliśmy do wieczora, paląc papierosy.

O godzinie szóstej jeden z naszych ludzi przyniósł nam raport o pierwszych rezultatach śledztwa, tycającego się otrucia Markasa. Lekarz, który badał zwłoki, stwierdził, że rzeczywiście agent został struty, lecz nie mógł dociec, jaki rodzaj trucizny został użyty.

Zachowanie się starego Dambleuse nie zmieniło się dotąd. Nie przemówił już ani słowa i nie chciał odpowiadać na zadawane mu pytania co do okoliczności, które poprzedziły śmierć Markasa. Zajęty był, jak od pierwszego dnia osadzenia w więzieniu, jakimś rachunkiem, spisując dzień i noc całą niezliczoną ilość cyfr na wielkich arkuszach papieru.

A Iggins tymczasem nie dawał znaku życia.

Ulica Lombardowa, 7.

Nareszcie o godzinie dziewiątej wszedł Iggins. Twarz jego była skupiona i zamknięta jak zazwyczaj.

Przywitał nas skinieniem głowy, usiadł, nalał sobie szklanek whisky, wypił, westchnął po tętnie i w końcu przemówił:

— Dobra robota na dzisiejszą noc!

— Tak? — zdziwił się Dalton.

— Tak!

— Gdzie?

— Zaraz. Najprzód powiedzcie, coście wy zrobili?

W kilku słowach Dalton opowiedział mu rezultat naszych poszukiwań. Iggins słuchał go z nadzwyczajną uwagą, mrucząc coś od czasu do czasu. Kiedy Dalton skończył, wypił jeszcze jedną szklankę whisky i rzekł:

— Doskonale! Mam także nie złe wiadomości. Wiecie już, że Markas przed śmiercią chciał wejść w naszą służbę. Ten projekt podobał ci się Daltonie, mój chłopcze. Mnie nie bardzo.

— Dlaczego?

— Nie lubię się posługiwać ludźmi, którzy przedtem byli w policyi. Nie są pewni, nieposłuszni i zrozumieli. Nie wiadomo, jaką rolę grają. Więc wahałem się.

Było to temu trzy tygodnie. Wahałem się. Chciałem się przedtem dowiedzieć trochę, jak żył ten Markas. Znam go już dosyć dawno. Wiem o nim wiele rzeczy, ale nic takiego, co by nas interesować mogło, nic takiego, co by mogło być przeszkodą do przyjęcia go między nas. Trzeba było jednak bliżej się przekonać.

A więc numer 38 śledził go przy pomocy numeru 19 i 16. Przedewszystkiem musiałem zauważyć, że Markas nie był człowiekiem dla nas, bo nawet nie spostrzegł, że jest śledzonym.

— Czy być może!

— Tak, mój chłopcze! Markas więc, jak się okazało, nic ważniejszego nie poczynił w naszej sprawie. Chodził tylko do kilku miejsc, nie rozumiałem wówczas, w jakim celu. Teraz, po tem, co mi powiedziałeś, zaczynam rozumieć. Był kilka razy na ulicy Roquette pod numerem 215 i dwa razy na ulicy Breda. Szukał tam widocznie śladów małej dziewczynki.

— Co więcej? — zapytał Dalton, widząc, że Iggins się zawahał. — Jest co więcej?

— Tak.

— Co takiego?

— Dwie rzeczy, adres i klucz.

— Jaki adres?

— Ulica Lombardowa 7 i ten oto klucz.

Iggins pokazał nam klucz duży i silny, który zapewne służyć miał do otworzenia jakichś drzwi.

— Dalej! dalej! — przynaglał Dalton.

— Markas nie odkrył nic nadzwyczajnego przez te piętnaście dni. Raz tylko udał się na ulicę Lombardową pod numer 7. Miał przy sobie ten klucz. Odkąd miał go? I skąd go dostał? Nasi agenci nie wiedzą tego. Poszedł do stróża tego domu i powiedział mu, że ma klucz od mieszkania właściciela, który mu polecił coś zabrać stamtąd. Stróż musiał mieć jakiś rozkaz wydany, bo nic nie oponował i pozwolił Markasowi pójść na górę. Mieszkanie, gdzie Markas się udał, składało się z dwóch pokoi i małej kuchenki. Pozostał tam długo, blisko trzy godziny. Potem wyszedł stamtąd i powrócił do miasta — oto wszystko.

— A więc?

— A więc to jest klucz od tego mieszkania.

— Jakim sposobem dostał się on w wasze ręce?

— Łatwo. Jeden z moich ludzi, który śledził Markasa, zamienił ten klucz w chwili, kiedy przejrano jego ubranie po jego śmierci. Na miejsce tego klucza podłożył inny. Sprawiedliwości nie stała się przez to żadna krzywda.

— Cóż mamy teraz robić?

— Sprawdzić wartość tego klucza.

— To może klucz od mieszkania Markasa?

— Nie.

— Więc od czego?

— Od tego mieszkania, do którego raz poszedł Markas i zabawił trzy godziny.

— To bardzo wątpliwe.

— Być może — zaśmiał się ironicznie Iggins — ale jednak przekonać się musimy.

— Może tam ktoś mieszka i ten ktoś nie przyjmie nas chętnie.

— Nie — tam niema nikogo.

— Napewno?

— Tak. Nikt tam nie był przed odwiedzinami Markasa ani po jego przyjeździe.

— A więc nie tracmy czasu.

— Tak. Nie potrzebujemy jednak iść tam wszyscy. Ty Dalton, zostań tutaj, możesz tu być potrzebny. Ja tam pójdę z Vallorbem i przekonamy się, co zainteresowało tak silnie Markasa na ulicy Lombardzkiej.

Po chwili byliśmy już w drodze.

Nie mieliśmy zamiaru wypytywać stróża z kamienicy, którego nasi ludzie opisali jako człowieka mrukliwego i niechętnego do rozmowy. Nie mogli nawet dowiedzieć się od niego, jak się nazywał ów tajemniczy lokator, zamieszkujący mieszkanie, do którego wchodził Markas. Iggins zapukał tylko do okienka łoży i pokazując klucz, zapytał stróża, gdzie się znajduje mieszkanie, na prawo czy na lewo od schodów. To wystarczyło. Stróż spojrzał tylko badawczo na Igginsa i odpowiedział:

— Na lewo.

Poczem zamknął okienko.

— Miałem słusność — mruknął Iggins, idąc po schodach na górę.

Klucz był rzeczywiście od tego mieszkania. Iggins przekręcił go dwa razy w zamku i niskie, nieduże drzwi otworzyły się.

Zapaliłem zapalke. Drzwi prowadziły prosto do małego pokoju, który prawdopodobnie był salonem, ale teraz był pusty zupełnie.

Zamknęliśmy drzwi i zapaliliśmy drugą zapalke. Poczem przeszliśmy do drugiego pokoju, który był pokojem sypialnym. Rozburzone łóżko stało w jednym rogu. Przy ścianie otwarta szafa, z wyciągniętą szufladą. Zapaliłem trzecią zapalke i krzyknąłem z podziwu.

— Tam, tam, pańczie!

— Doskonale! — mruknął Iggins.

To, co pokazywałem Igginsowi, to była peruka, leżąca na stole. Peruka ruda, obok której leżała broda również ruda i gęsta.

To było dosyć ciekawe odkrycie!

Iggins wziął perukę ze stołu, oglądał ją długo, drobniawo, w końcu mruknął coś, zagwizdał i zapadł w głębokie zamyślenie.

Nie posiadałem się z niecierpliwości, ale Iggins nie przerywał rozmyślenia.

Aby uspokoić się trochę, zacząłem rozglądać się po pokoju i przejrzałem wszystkie kąty.

Przekonałem się zaraz, że nie przyszliśmy tu pierwsi. Ktoś tu już był przed nami i poczynił drobniawo przeszukiwania w tym tajemniczym pokoju. Ktoś inny, prawdopodobnie Markas! Markas, który posiadał klucz i mógł tu dowolnie wchodzić o każdej porze!

Nawet, jak zauważyłem, działał on bardzo

pośpiesznie i bez żadnej ostrożności, nie troszcząc się, czy pozostawia jakie ślady swojego przejścia po za sobą.

Spostrzegłem, że zamek przy szafie, do którego Markas pewnie nie posiadał klucza, był oderwany przemocą. Tak samo oderwane były dwie dolne szuflady.

Tylko jedno biurko małe stało nieknięte. Zamek nie był naruszony. Dlaczego? Może Markas posiadał klucz od niego, albo też zapomniał o biurku, lub też, tak był już zadowolony z tego, co znalazł, że zaprzestał dalszych poszukiwań?

Pokój, w którym znajdowaliśmy się, był dosyć pusty, nie było w nim żadnych mebli oprócz łóżka, szafy, małego biurka, o którym właśnie wspominałem, dwóch foteli i jednego krzesła. W szafie była bielizna bez znaków, kupiona widocznie przypadkiem w sklepie z gotową bielizną. Poza tem szczytka, grzebień, nożyczki. Na jednym z foteli leżały porzucone w nieładzie zielone spodnie w paski, żakiet czarny, zniszczony już i wytarty. Za szafą zaś odkryłem starannie owinięte kawałkiem płótna futro i płaszcz. W końcu w szufladzie szafy trzy pary obuwia, duże buty do polowania i para lakierków. Obuwie to nie było jednakowej wielkości.

Iggins przyłączył się do mnie, przeglądał uważnie wszystko, ale nie mówił nic. Po chwili powrócił do peruki i fałszywej brody, pokiwał głową, wrzucił ramionami i wyrzekł:

— Tak, tak! Oto wszystko, co pozostało po tajemniczym panu Zilu.

— Co pan chce przez to powiedzieć? —

zapytałem z niemałą ciekawością.

— Mówię, że to jest wszystko, co pozostało po Zilu. Reszta, to, co było pod spodem, nazywa się inaczej i jest innym człowiekiem.

— A więc, sądzicie, Iggins, że Zil nie egzystuje wcale?...

— Kto jest właściwie Zil?

— Do diabła, jeżeli wiem.

— Czy mamy choć jakie podejrzenia?

— To prawda!

— Same głupstwa!

— Jednakże...

— Pracujmy lepiej! — przerwał brutalnie Iggins.

Usiadł przed biurkiem i energicznie pchnął nożem, który trzymał w ręce, podważał zamek szuflady. Był tam cały zbiór flaszeczek, słoików z gumą, wazeliny, szminek. Cały komplet do charakteryzacji.

— Domyślałem się tego — mruknął Iggins.

— Czyście zauważyli, Iggins, różnorodność miary wszystkich butów w szafie?

— Tak.

— A ubrania?

— Także.

Usiadł ciężko w fotelu i zaczął mówić:

— Przejdźmy kolejno wszystko. Co wiemy najsamprzód o Zilu?

— $X = Zil = M. S. - 27.002$ — wciąłem.

— Tak. Dalej.

— 27.002, to numer rewolweru, znalezione u szofera Jerzego Dambleuse. Czyżby to był Jerzy Dambleuse?

— Niepodobieństwo?

— Dlaczego?

— Jerzy Dambleuse nie mógł być pomocnikiem kafa.

— Niepodobieństwo! powtarzam.

— Dobrze. Teraz idźmy dalej. Litery M. S. Czyście zauważyli, Iggins, że te znaki tajemniczego korespondenta zgadzają się z pierwszą i ostatnią literą nazwiska Markasa?

— Tak — odparł Iggins — ale to być mogą także pierwsze i ostatnie litery nazwisk innych.

— To, czegoś mi tu dokonali, nie posunęło wiele sprawy naprzód.

— Dało nam to jednak pewne dowody rzeczowe. Markas znał Zila od kilku dni, a podejrywał kogoś także od kilku dni, że jest tym Zilem. Ale tu ślad wszelki ginie.

— Czego absolutnie zrozumieć nie mogę, to znajomości, czy też związku jakiegoś kapitana de Limandoux z Zilem.

— Mylisz się chłopcze. Nic nie dowodzi, że kapitan de Limandoux znał Zila. Wogóle nie wiemy nic o sprawie Limandoux, a powodach, które popchnęły kapitana do wypisania zagadki na kopercie zegarka. Ale dzięki jemu, dzięki tej jego ostrożności zanotowania formułki $X = Gil = M. S. - 27.002$, wpadliśmy na trop, że sprawa Limandoux ma jakąś łączność ze sprawą Dambleuse, skoro znajdujemy na rewolwerze Jerzego Dambleuse ten sam numer 27.002. (C. d. n.)